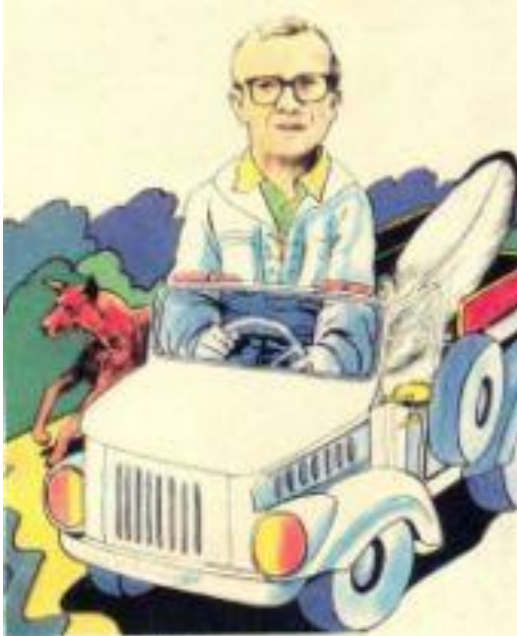


Zbigniew Nienacki: Artykuł "W poszukiwaniu przygody", Płomyk nr 16/1980

To była wspaniała przygoda. Zaczęła się trzynaście lat temu, od krótkiego ogłoszenia w kilku gazetach: „Dom nad jeziorem kupi literat”. Odnajdując to swoje ogłoszenie na wielkiej płachcie gazety, czułem się jak ktoś, kto znalazł się na rzece w maleńkiej łódce bez wiosł i bez steru, nurt wody niesie go nie wiadomo dokąd i nie wiadomo, przy jakim brzegu osadzi. Bo nie byłem zdecydowany, w jakiej



okolicy Polski, w jakim regionie - chcę się osiedlić. Jak ma wyglądać pejzaż widoczny z okien mego przyszłego domu ani jakich będę miał sąsiadów. Wiedziałem tylko, że nie potrafię już dłużej żyć w wielkim, hałaśliwym mieście, w anonimowym tłumie przesuwanym się obok mnie po ulicach, w potoku aut i chmurze spalin: pragnąłem na stronice moich następnych książek wnieść piękne obrazy lasów i jezior, zapach wodorostów, pól, wprowadzić nowe postacie ludzi, przeżyć nowe, ciekawe zdarzenia. Podniecała moją ciekawość myśl, skąd przyjdzie odpowiedź na ogłoszenie, gdzie jest to jezioro, które na pewno pokocham, jak wygląda ów dom, w którym w niedalekiej przyszłości zamieszkam i będę pisać swoje nowe książki. Stałem więc jakby na progu wielkiej tajemnicy i wielkiej niewiadomej, przed drzwiami, które za chwilę miały się uchylić, aby mnie wprowadzić w zupełnie nowy świat. O tym świecie miałem bardzo niejasne wyobrażenie, domyślałem się tylko, że w związku z posiadaniem takiego domu nad

jeziorem spadną na mnie nie znane mi obowiązki i zajęcia; przeżywałem więc chwile lęku, że być może ja - człowiek urodzony i wychowany w wielkim mieście - nie potrafię im sprostać. Na przemian więc miały mną: niepokój i niecierpliwość, dręczyła ciekawość - co dzień biegałem do biura ogłoszeń, aby pytać, czy nie ma już odpowiedzi na mój gazetowy inserat, bo tak to się fachowo nazywa.

...Wreszcie zebrano się około trzydziestu ofert z najróżniejszych stron kraju. Wsiadłem do swego, już trochę nadwątlonego przez czas samochodu i wyruszyłem tropem listów. Pojechałem do Szwajcarii Kaszubskiej, nad Jeziora Myśliborskie, na Ziemię Lubuską, na Suwalszczyznę i Białostoczczyznę, nad Zalew w Bieszczady, ba, gdzież ja wtedy nie dotarłem, żeby zobaczyć domy, jakie nad jeziorami, a także rzekami proponowali mi ich właściciele, przeważnie ludzie, którzy ze względu na swój podeszły wiek albo z przyczyn rodzinnych pragnęli dla odmiany przenieść się ze wsi do miasta. Domy były małe i duże, murowane i drewniane, przepięknie położone, z ogrodami i sadami, z dostępem do wody i na skraj przepastnych lasów. Niemal każdy chwycił mnie za serce i zapewniał, że potrafię go pokochać na zawsze. Ale wszystkie miały jedną wadę: były dla mnie stanowczo za drogie. Ktoś mnie uprzednio błędnie poinformował co do ceny skromnego domu na wsi: okazało się w praktyce, że są to ceny dwukrotnie wyższe od moich oszczędności zgromadzonych na ten cel.

Po dwóch tygodniach podróży i wielu rozczarowaniach, już niemal zupełnie zniechęcony, znalazłem się na krętej asfaltowej drodze, wijącej się przez ogromny mieszany las mazurski, rozciągający się wzdłuż zachodniego brzegu potężnego Jezioraka. W mojej kieszeni były jeszcze tylko dwie koperty z ofertami, traciłem więc nadzieję, że spełnią się moje marzenia. Pamiętam, tego dnia padał deszcz, ponad sto kilometrów jechałem przy wtórze nieustannego szmeru wycieraczek, zmęczony samotnością i głodny. Ale mimo deszczu i zmęczenia, las wydawał mi się przepiękny, a jezioro, które od czasu do czasu dostrzegałem między drzewami - zachwycało jakimś dziwnym urokiem. Adres na kopercie został napisany niewprawną ręką, nie mogłem go dokładnie odczytać, nic więc dziwnego, że dwukrotnie pomyliłem drogę. Pamiętam, że w pewnej chwili, po przejechaniu jakiejś małej wioski mazurskiej, znowu znalazłem się w lesie na grząskiej od błota drodze, dookoła rósł młody las, raptem droga urwała się, prowadziła donikąd, a właściwie do wąskiego przesmyku, łączącego jezioro Płaskie

z Jeziorakiem. Kiedyś przez ów przesmyk można było przedostać się promem, ale to musiało być dawno, prom butwiął zalany wodą. „Oto i kres mej podróży” - pomyślałem - „Chyba najwyższa pora, aby wrócić do miasta i rozstać się z marzeniami o domu nad jeziorem”. Byłem tak zmęczony, że rzeczywiście miałem już chęć zaprzestać poszukiwań adresata jednego z ostatnich listów z propozycją sprzedaży domu nad jeziorem. Wysiadłem z samochodu, aby odpocząć od szmeru wycieraczek, i przepełniony żalem, że nie spełnią się moje marzenia, przykucnąłem nad wodą, spoglądając na jej spokojną toń. Czy mogłem wówczas przypuszczać, że w tym przesmyku do niedawna spoczywała zatopiona podczas wojny ciężarówka ze zbiorami muzealnymi, że ten prom, ten przesmyk - zostaną przeze mnie opisane w powieści „Nowe przygody Pana Samochodzika”, a historia o zatopionej ciężarówce będzie główną osią akcji tej powieści?

Okolica wydawała się bezludna. Postanowiłem przespacerować się po lesie i wzdłuż brzegów jeziora, aby rozprostować nogi, podkurczone w samochodzie. Przeszedł padać deszcz, wyjrzało słońce. Po kilkunastu krokach marszu przez las, odkryłem wśród drzew ruiny jakiegoś domu, a potem zagubiony w lesie maleńki cmentarzyk z zaniedbanymi grobami. Miejsce to tchnęło pięknem i jakimś dziwnym urokiem - zapragnąłem tu gdzieś niedaleko pozostać na zawsze, zgłębić tajemnicę tego pięknego zakątka. Ale nie było nawet kogo zapytać o drogę i dopiero po jakimś czasie zobaczyłem nad brzegiem jeziora żółty



namiocik i łowiącego ryby mężczyznę. Ów człowiek poprosił mnie o zapalniczki, bo jego zamokły na deszczu. Zaczęliśmy rozmawiać i tak został moim przyjacielem. Do dziś. Gerard P. - bo tak się nazywał - w 1939 roku jako młody żołnierz polski, został wzięty do niewoli hitlerowskiej i znalazł się w tych okolicach. Trafił do Polaka, których tu mieszkało bardzo wielu. Właśnie do tego gospodarstwa w lesie, które potem wojna obróciła w ruinę. Gospodarz Polak, nazwiskiem Gustaw Kodrąb, współczuł młodemu jeńcowi, wreszcie postarał mu się o mapę i pomógł w zorganizowaniu ucieczki do Warszawy. „Kodrąb zmarł w 1941 roku i leży pochowany tam, na tym małym cmentarzyku. Co roku tu przyjeżdżam, bo wiąże mnie z tym miejscem wspomnienia - a poza tym to piękny zakątek” - powiedział mi Gerard. I dodał: „Gustaw Kodrąb to był ciekawy człowiek. Prosty rolnik, bez wykształcenia, ale pisał piękne wiersze po polsku, choć dookoła szalała germanizacja ludności polskiej. Zachowałem jeden z jego wierszy. Czy chce go pan przeczytać?”

Przeczytałem. Ale nawet wówczas, w najśmielszych marzeniach nie mogłem przypuścić, że ten wiersz, i cała historia o ludowym poecie Gustawie Kodrąbie, pochowanym na malutkim cmentarzyku w lesie - stanie się główną kanwą mojej powieści p.t. „Pan Samochodzik i złota rękawica”. Ba, w trzynastu lat później ta właśnie książka przyczyni się do ugruntowania mojej literackiej sławy - otrzymam bowiem za nią Harcerską Nagrodę Literacką 1980 roku...

W dwie godziny później, o kilka kilometrów dalej rozpocząłem targ o nieduży, murowany dom położony na skarpie nad jeziorem. Dom był trochę zaniedbany, bo kolejno zmieniał aż siedmiu właścicieli, którzy nie myśleli się z nim na dłużej wiązać. Z jednego rogu dachu spadły dachówki, na strychu stały miski, w które podczas deszczu ściekała woda przez dziurawy dach, brakowało ogrodzenia, stodoła groziła zawaleniem się. Ale może dlatego żądano za niego niezbyt wiele, choć i tak więcej niż wynosiły moje oszczędności. Zdecydowałem się jednak pożyczyć od przyjaciół brakującą mi sumę pieniędzy, gdyż czułem - wszystkimi porami swej literackiej duszy, że ten dom, jezioro, ogromne lasy rozciągające się dookoła kryją bogactwo zdarzeń, które mogą stać się tworzywem moich nowych książek. I choć ten dom wyglądał bardzo smutnie - jak każda zaniedbana budowla, a czekało mnie samotne w nim bytowanie - to przecież jakże pocieszająca była dla mnie świadomość, że był już w tej

okolicy kiedyś ktoś piszący. Gustaw Kodrąb, który tworzył swoje wiersze w trudnych warunkach niewoli. Wiedziałem, że pamięć o nim będzie mi odtąd wiernie towarzyszyć.

...Nastąpił trudny rok. W pustym, zaniedbanym domu, z odrapanymi ścianami, rankiem kończyłem pisanie „Niesamowitego dworu”. Pisałem na składanym, turystycznym stoliku, nie stać mnie bowiem było na meble. Sypiałem także na nadmuchiwanym turystycznym materacu. Po południu zaś brałem się za stolarkę, to znaczy usiłowałem zrobić sobie stół, ławki i tapczan z zakupionych w tartaku desek, przy pomocy nabytych w sklepie narzędzi stolarskich: struga, piłki i młotka. Pierwszy stół kiwał się okropnie, ławka rozpadła się, gdy na niej usiadłem... Wówczas zdecydowałem, że muszę poduczyć się stolarstwa i przez jakiś czas w pobliskim miasteczku praktykowałem u prawdziwego stolarza. I choć on przeważnie robił tylko trumny, to jednak nauczył mnie podstawowych sposobów trwałego łączenia z sobą desek i nadawania im odpowiedniego kształtu. Mój trzeci stół był już ładny, a ławki nie kiwały się, i stoją u mnie do dzisiaj. Potem, uzyskawszy niewielką pożyczkę od państwa, wyremontowałem przewracającą się stodołę, naprawiono mi dach, zbudowano płot wokół domu. A ja umeblowałem sobie mieszkanie...



Tak, to był bardzo trudny okres. Wszystkiego musiałem się uczyć. Siania trawy, pielęgnacji drzewek owocowych, sadzenia żywopłotu, naprawy pompy studziennej. Ale najtrudniejszą nauką było poznawanie nowych ludzi, tych z wioski, z najbliższego sąsiedztwa. Mieli prawo być nieufni wobec człowieka z miasta, i to do tego pisarza, który raptem, ni stąd, ni zowąd, porzucił wielkomięskie życie i osiadł w zagubionej wśród lasów wiosce, piętnaście kilometrów od najbliższej stacji kolejowej, dwadzieścia siedem od najbliższego miasta. Niektórzy z nich z lekką drwiną obserwowali moje, jakże często nieudane wysiłki, aby upiększyć dom i jego otoczenie. Pamiętam, że gdy pewnego razu porządkowałem stary kurnik, ktoś przechodzący drogą, ukrył się za pniem drzewa i korzystając ze zmroku, zawołał w moją stronę: „Pisarz - kury macasz”, co miało oznaczać, że muszę być lichym pisarzem, skoro krzątam się w kurniku zamiast występować przed kamerami telewizji albo przed swymi czytelnikami, w białej koszuli i krawacie.

Również i moi przyjaciele w mieście nie rozumieli mojej decyzji i odnosili się do niej niechętnie. Mówiono, że uciekłem na pustkowie, aby być z daleka od ludzi, bo ich zapewne nie lubię, a to będzie koniec mojego pisarstwa, ponieważ pisarz powinien żyć wśród ludzi, rozumieć ich i opisywać. Tymczasem ja właśnie chciałem być jak najbliższej ludzi, pragnąłem ich poznać i zrozumieć. W wielkim mieście czułem się anonimową postacią i choć za każdym wyjściem na ulicę ocierałem się o setki innych ludzi, to przecież nic o nich nie potrafiłem powiedzieć, ani oni o mnie niczego nie wiedzieli. Tu ludzi było mniej, ale za to wszyscy się doskonale znali, wiedzieli o swoich kłopotach i radościach i przez to stawali się sobie jak gdyby bliżsi.

Nie umiem powiedzieć, kiedy, którego dnia zostałem zaakceptowany przez „moją” wieś, kiedy uznano mnie za jednego z prawdziwych jej mieszkańców. Może złożyło się na to wiele czynników - odbudowana stodoła, ogromne starania, aby mój dom był jednym z najładniejszych w wiosce? A może stało się to wtedy, gdy zapachniała skoszona przeze mnie i przeze mnie zasiana trawa na łące? Wiem tylko, że pewnego dnia miałem już w tej wiosce wielu



życzliwych ludzi, pomagano mi, gdy prosiłem o pomoc, a ja także starałem się spieszyć z pomocą tym, którzy mnie o nią prosili. Tak stałem się członkiem małej wioskowej społeczności i jestem nim do dzisiaj.



Mijały miesiące, nawet lata. Powoli poznawałem okolice, a jej piękno przenikało na karty moich nowych książek. Poznawałem ludzi, a wraz z tym wzbogacałem się o ciekawe historie z przeszłości i teraźniejszości. Niektóre z tych historii były tak ciekawe, że stanowiły niemal gotowy temat do książki. Latem poznawałem setki turystów, biwakujących nad jeziorem, obserwowałem przeróżne typy ludzkie, ich zachowanie i postępowanie. Nauczyłem się pięknej sztuki żeglowania i kupiwszy niewielki jacht, przeżywałem nowe przygody na ogromnym jeziorze. Nie musiałem niczego wymyślać, trudzić swej fantazji, przygoda drzwiami i oknami pchała się do mojego małego domu nad jeziorem. Która z tych

przygód była najciekawsza? Trudno powiedzieć. Może ta, która zaczęła się od skargi pewnego rybaka, że na wyspie, gdzie trzymał stado owiec, jedną z nich mu zabito i ukradziono. I tak poszukując sprawców kradzieży natknąłem się na „bandę Czarnego Franka”? A może to było wtedy, gdy otrzymałem psa o imieniu Protazy - wielkiego, błękitnego doga? A może najszcześniejszy był dzień, gdy burza na jeziorze i silny wiatr zagnały mnie do cichej zatoki. Poznałem tam człowieka, którego nazywano "Winnetou" i razem z nim rozpocząłem batalię o wprowadzenie na jeziorze wydzielonych „stref ciszy”, aby nieustannie płoszone rykiem motorówek ptactwo mogło znowu żyć i rozmnażać się w spokoju. Batalia ta zakończyła się zwycięstwem: na tej części jeziora, gdzie mieszkam, nie można hałasować motorówkami, mogą tylko pływać żaglówki i kajaki bez silników spalinowych. W nowych książkach starałem się opisać swoje nowe przeżycia, utrwalić ciekawe wydarzenia z przeszłości okolicy, w której żyję, i tak przekazałem historię Jenny von Gustedt z pobliskiego Gardzienia, kobiety, która kiedyś była bliską przyjaciółką wielkiego poety niemieckiego Goethego, uczestniczyła w obiedzie, jaki wydał on na cześć Adama Mickiewicza. Wreszcie odważyłem się podjąć temat ludowego poety Gustawa Kodrąba i tak narodził się „Pan Samochodzik i złota rękawica”. Przygodą można też nazwać moją walkę o to, aby zagrożony likwidacją mały cmentarzyk, na którym pochowano Kodrąba, ocalić dla przyszłości. Nadleśnictwo Susz przychyliło się do moich sugestii, pozostawiło cmentarzyk pośrodku zakładanej plantacji nasiennej, ogrodziło go nawet - co widać na zdjęciu - i postawiło krzyż. Trzeba tylko było postarać się o skromną tablicę upamiętniającą Gustawa Kodrąba, po którym przetrwały zaledwie trzy wiersze, ale jakże piękne. Zresztą grono wielbicieli tego nieznanego poety prowadzi nadal detektywistyczną działalność, aby odnaleźć jeszcze inne wiersze. Te poszukiwania to także piękna przygoda, ostatnio zakończona sukcesem. Nauczycielce w mojej wiosce, Dorocie B., udało się od jednego z dawnych mieszkańców tych okolic otrzymać tekst wiersza, o którym można z całą pewnością sądzić, że wyszedł spod pióra autora "Złotej rękawicy" i jest nie mniej piękny. Napisany w czasach niewoli niemieckiej, w jakiej znajdowały się Mazury, tchnie wiarą i nadzieją, że wolność, z której dziś korzystamy, będzie udziałem i tej części Polski. Pozwólcie, że go zacytuję:

„Nocami pająk snuje sidła
W okna zagląda wiedźma z czartem.
Ziemię przykryły czarne skrzydła
ptaka, co orła jest bękartem.
Wolność, jak barwne malowidło
będzie - jak przejdziem Wisłę, Wartę,
Ujrzycie utracone skrzydło
ptaka, co orła jest bękartem.”

Ten ptak z czarnymi skrzydłami, to oczywiście tak zwana „gapa”, jak podczas okupacji nazywano hitlerowskiego orła.

Jeśli kiedyś traficie do wsi Małdyty [tak w oryginale, chodzi tu jednak o wieś Matyty - przyp. nienacki.art.pl] w gminie Zalewo, poproście leśników, aby pozwolili wam odwiedzić na ich plantacji grób ludowego poety-patrioty, który wierzył w powrót tych ziem do Polski.

Nie każdy może iść w moje ślady i osiedlić się w małym domku na wsi, nad ogromnym jeziorem. Ale wydaje mi się, że każdy z Was może w swoim mieście, czy w swej wiosce, a także podczas wycieczek w różne strony kraju odkrywać zagadki i piękne historie z przeszłości i teraźniejszości naszej ojczyzny, poznawać ciekawych ludzi i ciekawe sprawy. Oświadczam wam, że jest to najpiękniejsza przygoda, której warto poświęcić trochę trudu i dociekań - i ja jej ten trud poświęcam. Dlatego pewnie moja przygoda wciąż jeszcze trwa.

